

Tornado 3

Pierwszy odlot cz 1

Jako, że imię Wiatrak kompletnie nie siadło, trzeba było wykombinować nowe. Warunkiem było coś z ruchem powietrza, bo psi ogon latał bezustannie i bez przerwy wzniecał mi z podłogi zamiatane śmieci. W drugim podejściu ogólnosąsiedzka komisja wzięła pod uwagę imiona: Tajfun, Huragan i Zefir. Padło na Tajfuna, ale po dwóch dniach wydało mi się jakieś takie niewyraźne i mało wdzięczne. Mam! W końcu wymyśliłam! Będzie Tornado. No, w końcu jakiś konkret.

Mąż oblatany w stołecznym kręgu biznesowym, uznał w żartach, że tak głupio w towarzystwie wyskoczyć z informacją, że ma psa rasy nieznaną i postanowił na tę okoliczność poszukać psu jakichś sensownych przodków. Śmiechu było co niemiara. Nie powiem. Długo szukał. Mniej więcej o piątej nad ranem znalazł psu rasowych protoplastów i rankiem obudził mnie podtykając pod mój zaspany nos zdjęcie jakiegoś mega rasowego wilczaka rodem z Niderlandów. Pomijając fakt, że w Europie występują może trzy egzemplarze i nikt ich za bardzo na własne oczy nie widział, to podobieństwo do Tornado można dostrzec jedynie o piątej nad ranem. Nie, nie. Saarlaas wolfhund, to zdecydowanie nie to, ale i tak w późniejszym czasie, niejeden znawca na tę informację kiwnął głową z uznaniem i zapewnił, że zna, że piękny, że to mądre psy 😊

No, skoro imię już jest, to wypadałoby zamówić psu identyfikator, tak więc korzystając z ładnej pogody zostawiłam w ogrodzie ten pseudo pomiot holenderskich wolfhund'ów. Szczelnie zamknęłam bramę, a sama udałam się do sklepu zoologicznego, by zamówić medalik z namiarami. Nie było mnie może kwadrans. Wracam i czekam, aż coś przyleci się cieszyć, a tu cisza. Wołam, gwizdzę, cmokam... Nic, zero. Pewnie pies w domu. Ale w domu też zero. Nie wierząc własnym oczom dokładnie

sprawiłam ogrodzenie, ale nie znalazłam obłuzowanych desek ani podkopów. Pies po prostu wyparował. No, kaplica. W okolicy zero psa.

W pierwszym odruchu było lecieć w osiedle i wołać. Ale jak go wołać? Pies był u nas raptem kilka dni i codziennie miał inne imię. Człowiek by zgłupiał, a co dopiero pies.

No, to papierniczy. Ryza papieru, toner do drukarki, pinezki i taśma klejąca. Tylko jak tu opisać psa, jakich milion i w dodatku takiego, który nie reaguje na imię(?) Uff, jakoś poszło. Dobrze, że miał chociaż czarną obrozę, biały koniec ogona i różową bliznę na nosie. W takiej sytuacji ważny każdy znak szczególny. W stresie nauczyłam się nawet wklejać zdjęcia do Word'a. Na pierwszy rzut poszło pięćdziesiąt ogłoszeń. I co dalej? Szukać? No dobrze, tylko gdzie? Wokół ruchliwe ulice i ogromne blokowiska. Potencjalnych kierunków wiele. Na pierwszy ślad czekaliśmy dobę, gdy w końcu ktoś zadzwonił i powiedział, że widział psa.

Ziścił się najgorszy możliwy scenariusz. Pies wylądował na Kurdwanowie, czyli na okolicznym osiedlu „sypialni” liczącym na biedę jakieś trzydzieści parę tysięcy mieszkańców. W tej sytuacji szukanie igły w stogu siana mogło napawać większym optymizmem, ale mniej więcej wiedząc, gdzie jest pies trzeba było rozkleić jeszcze więcej ogłoszeń. Znowu drukarka poszła w ruch, wśród znajomych zapanowała pełna mobilizacja. Zupełnie jak przed wyborami do sejmu, podzieliliśmy się plakatami, pinezkami, lepcami. Wyznaczyliśmy rewiry. Minął następny dzień. Akcja! Jest! Znowu ktoś go widział. Poszukiwania nabierają tempa. W okolicy każdy sklepikarz już wie, że zginął pies. Większość dzieciaków na placach zabaw przekazuje sobie tajne info o nagrodzie za znalezienie psa, a wszyscy psiarze ze zrozumieniem współczują i między sobą wymieniają informacje.

Kolejny dzień. Sobota. Psa nadal nie ma, a patrząc na to jak szybko biega, to może być już w Bratysławie albo nawet i na

Lazurowym Wybrzeżu, jak się do tira załapał. Ogłoszenia wiszą już prawie na każdym drzewie jakie rośnie na osiedlu, a ja dostałam w papierniczym kartę stałego klienta. Znowu znajomi pod parą, bo przecież zostało jeszcze trochę drzew i całe mnóstwo latarni w okolicy. W marketach też już byłam. Już wszyscy wiedzą, że zginął pies, a mnie na Kurdwanowie coraz więcej osób mówi „dzień dobry”.

Samochodem jeździć bez sensu, bo mało mobilny na osiedlowych uliczkach, no to quad poszedł w ruch. Tu już kolejna rzesza mieszkańców wyraziła zainteresowanie akcją. W szczególności zainteresowały się matki i babcie z niemowlakami w wózkach, bo pyrcząc w tej betonowej dżungli, ku ich wkurzeniu pobudziłam wszystkie dzieciaki. Już, już, jeszcze tylko dwie rundki i odpuszczam. Przecież sama mam małe dzieci. Za trzy dni pierwsze w ich życiu rozpoczęcie roku szkolnego, a matka nie ma czasu nawet pomyśleć o grantowych spódniczkach, bo szuka psa a pies pewnie już na przedmieściach Wiednia...

Jest! Nagle telefon. Ktoś kilka godzin wcześniej widział psa na osiedlu. Za kwadrans drugi telefon. Jedziemy! Niestety, pierwsza osoba ponownie nie odebrała telefonu, a autor drugiego zgłoszenia zaproponował nam białego głuchego pudła. Ależ ja nie mam nic przeciwko pudłom, tylko że ja, do cholery, nie szukam pudła!

CDN...